TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 15. *Chicago, Ills., 8 Pazdziernika, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 – 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

Zwracam się tedy do Rotnickiego i tak mu mówię:

— Panie bracie, już się rozmyślałem. Będziesz się Waćpan widział z swoją panną, choćby tam i nie wiedzieć co nastąpić miało!

Tak on dopiero wtedy rzuci mi się na szyję, a ściskać pocznie, a całować, a serdeczne dzięki i affekta wdzięczności wywodzić, jakbym mu ja życie darował i pardon z wolnością obwieścił. Gdy się nareszcie wyrwałem z jego objęć, rzekłem do niego:

— Słuchajże Waćpan, jak to uczynimy. Skoro się będzie miało ku zmierzchowi, przyszlę po ciebie dwóch dragonów, aby mi cię przystawili do ordynansowej izby mojej, niby dla jakiej inkwizycyi. Dwa konie czekać już na nas będą, wsiądziemy i dalej w imię Boże pojedziemy do Zadębia. Ale pamiętaj — dodałem z uśmiechem — wieczerzy tam świątecznej jeść Waćpan nie będziesz z twoją panną, bo już ja wiem, że u was Polaków w wigilię Bożego Narodzenia bywają wielkie wieczerze.

On się na to tęsknie uśmiechnął i znowu mnie czule uściskał, a ja wyszedłem też zaraz, aby przygotować wszystko jak należy. Jak było umówiono, tak się i stało. Skoro tylko zmierzch padać począł, przywiedziono mi na mój rozkaz więźnia. Przywołałem mego wachmajstra, zdałem na niego komendę straży i powiedziałem mu, że według rozkazu mam jeńca sam jeden odstawić do kwatery jenerała i że z nim powrócę za kilka godzin. Potem poleciłem się w duszy Bogu, i wsiadłszy z Rotnickim na koń ruszyliśmy ku granicy.

Nim jeszcze puściliśmy konie pełnym pędem, tak rzekłem do Rotnickiego:

— Zważże teraz Waćpan, co ci raz jeszcze powiem. Dałeś parol oficerski i słowo, które wy szlachta polska pono sobie nad życie cenicie — jak je złamiesz a uciec zechcesz, pamiętaj, że oto z tych dwóch pistoletów jeden dla ciebie a jeden dla mnie. Ciebie może chybię, gdybyś uciekał, ale siebie nie spudłuję, bo to będzie moja jedyna ucieczka przed karą. Powrócę albo z tobą, albo już nie powrócę, na to przysięgam.

— Bądź spokojnym, panie oficerze — odpowiedział mi na to — wolę ja śmierć, niż podłość; słowa mego dotrzymam i gotów będę do powrotu na każde twoje rozkazanie.

Gdyśmy minęli już miasteczko, dzięki Bogu, nie spotkawszy ani rontu, ani patrolu, ani nikogo ze starszyzny, dopieroż się kopniemy wichrem, lecąc okrutnie, co tylko koniom i nam tchu stało. Ja znając już drogę z poprzedniej wyprawy po księdza, jechałem naprzód, on za mną. Tak mu zaufałem, że ani się oglądałem za nim; a gdyby był chciał, mógłby mnie zostawić a sam umknąć, a jużbym go dostać był nie mógł, bośmy byli nie na pruskiem, ale na polskiem terytoryum.

Nie wiem, czy pięć kwadransów jechaliśmy nawet, gdyśmy się już znaleźli w Zadębiu. Dwór widny był z daleka, bo stał na wzgórku w samym środku wsi, a z okazyi tak uroczystej, jak wigilia Bożego Narodzenia, rzęsisto był oświetlony. Za kilka minut byliśmy już pode dworem; brama była otwarta, wpadliśmy na dziedziniec.

Rotnicki zeskoczył z konia i pyta mnie, jak teraz zrobimy: czy pójdziemy razem do środka, lub nie?

— Idźże Waćpan sam — odpowiadam mu — a ja tu chyba zostanę przy koniach. Daję Waćpanu jedną godzinę czasu i czekam go tu punktualnie na podwórzu.

Nie dał sobie Rotnicki dwa razy mówić, ale poskoczył szybko ku drzwiom, a ja zsiadłszy z konia i do słupa go na podwórzu upiąwszy, począłem przechadzać się po obszernem podwórzu, które samotne było i opuszczone, bo snać wszyscy domownicy gromadzili się już do wieczerzy. Chodząc tak, dziwne i rzewne miałem myśli i nie mogłem się oprzeć smutkowi...

Z podwórza widać było wieś całą, jak do koła wiankiem chat otaczała dwór pański. Noc była piękna, jasna i nie mroźna, na niebieskim firmamencie poczęły pokazywać się jasne gwiazdy i mrugały swem światłem ku mnie smutnemu i żałośnemu... Z wszystkich chat połyskiwały światełka — i z daleka wraz z pierwszą gwiazdą wieczorną ozwały się odgłosy wesołej kolendy...

Taka mnie owo wtedy opanowała rzewność tkliwa, taka tęsknica jakaś ciężka ścisnęła duszą i sercem, że mi się z oczu łzy wydobyły szczerze... Przypomniały mi się nagle moje lata pacholęce, i owe czasy szczęśliwe wśród ukochanego rodzeństwa, i owo wesele serdeczne, z którem witałem zawsze uroczystość dzisiejszą, obserwowaną w domu mego ojca po starym, polskim zwyczaju... Stanęły mi przed duszą wszystkie umiłowane osoby, których tak długo nie widziałem, których już nigdy oglądać nie miałem nadziei, i rodzic mój kochany, i czuła dobrotliwa matka i brat Andruś i siostrzyczka Hania... A gdy do tego jeszcze przyszła myśl, jako dziś na ojczystej stoję ziemi, od której mnie dzieliła twarda służba żołnierska może jeszcze na długo, może i na zawsze, to już żałości tej niewysłowionej i końca nie było...

Dumając tak rzewnie i chodząc tam i sam po podwórzu, zbliżyłem się do okien dworu, które były jasno oświetlone. Zaglądnąłem do nich i poznałem, że należały one do jadalnej komnaty, w której miała się odbywać wigilia. Jeszcze nie zasiadł nikt do stołu, który ustawiony był w podkowę i świątecznie przygotowany, ale już snać całe rodzeństwo domu i goście i domownicy zgromadzili się w komnacie do opłatka, bo dużo w niej ludzi ujrzałem.

Przystąpiłem bliżej jeszcze do okna, twarz prawie doń przytykając, bo mnie to wszystko do siebie przyciągało jakąś niepochamowaną siłą;

gdy nagle — Boże mój! tej chwili póki życia mego nie zapomnę! — tak niespodziewany i niesłychany widok mnie spotkał, żem od wielkiego zdumienia i nagłej i gwałtownej impresyi omal nie padł jak nieżywy na ziemię...

Oto między zgromadzonymi w komnacie osobami poznałem najwyraźniej ojca mojego!...

Nie zmienił się na twarzy, jeno posiwiał i ku starości się pochylił. Czerstwy był jeszcze jednak i z oczu zdrowie i siła mu przeglądały. Patrzę dalej i widzę, tuż obok ojca kobietę już poważną, z włosami także szronem okrytemi, i poznaję w twarzy jej łagodnej najdroższe, słodkie owe, nie zapomniane, w sercu wyryte rysy — rysy mej matki najlepszej...

W kącie komnaty widzę Rotnickiego, jak ująwszy dłoń jakiejś ślicznej panny, smętnie i czule z nią rozmawia. Było to dziewczę urody cudownej z niebieskiemi jak szafir oczyma, z warkoczami jasnemi, z twarzyczką świeżą i hożą jak jagoda, a serdeczną i słodką jakby u aniołka... Wpatrzyłem się w nią całą siłą mego wzroku — i zdawało mi się, że serce mi pęknie od rzewności, bo to był żywy konterfekt mojej najmilszej siostrzyczki, owej Hani małej i nadobnej, którą dzieweczką drobną odjechałem!...

Stałem chwilę odurzony, zdrętwiały i jakby bez zmysłów. Nogi podemną drżały, serce mało się nie rozparło od wzruszenia, oczy od łez i zdumienia mrokiem mi zaszły... Myślałem, że to sen na jawie, że to mara jakaś złudliwa, przywidzenie jakieś cudowne. Odstąpiłem od okna, aby się rozglądnąć do koła, i obudzić się ze snu, jeźli to sen był tylko. Gdy tak trę czoło, i patrzę na podwórze, aby się opamiętać, widzę jak jeden domownik wiedzie moje konie ku stajniom a drugi idzie do mnie.

— Słuchaj Wasze! — zawołałem do sługi — kto w tym dworze mieszka?

— Pan Narwoj! — odpowiada.

— Kto taki? — pytam raz jeszcze, nie wierząc uszom moim.

On powtarza raz jeszcze nazwisko wyraźnie.

— Czy dawno tu mieszka już pan Narwoj? — pytałem dalej.

— Przed sześciu laty tu przybył. Wieś ta należała do pani podczaszyny Żołyńskiej, a ta przed śmiercią, lat temu siedm, zapisała ją panu Narwojowi, który był jej krewnym blizkim podobno.

Nie było tedy już żadnej wątpliwości. To nie był sen, ale prawda. Moja rodzina cała o kilka kroków była odemnie. Cudowne zrządzenie Opatrzności dozwoliło mi ją odnaleźć w niespodziewany i dziwny sposób! Ciągle jeszcze jakoby bezprzytomny, nie sprzeciwiałem się temu, aby moje konie odprowadzono do stajni, bo w tej chwili zapomniałem o wszystkiem, o moim jeńcu, o hauptwachu, o panu oberszcie Koggeritzu...

Gdy tak stoję i daremnie chcę uspokoić biedne moje serce i w ład wprowadzić myśli, słyszę kroki i widzę idącego ku mnie ojca mego wraz z Rotnickim. Nie poszedłem na ich spotkanie, stojąc na miejscu, jakby przybity do ziemi. W tem ojciec mój zbliża się do mnie, bierze za rękę i znanym mi tak dobrze głosem mówi:

— Panie oficerze! Przychodzę sam prosić Waćpana, byś raczył wstąpić w progi nasze i był nam gościem łaskawym, choćby i na krótko, bo JMC pan Rotnicki opowiadał mi, że ma od Waćpana na godzinę tylko permisyę. Instancyonowałbym ja u Waćpana, bardzo o przedłużenie tak krótkiego terminu, ale nie wiem czy Waćpan, panie oficerze, usłuchasz prośby mojej. Jeżeli już tak być musi, to odjedziecie za godzinę, ale teraz proszę serdecznie, nie odmawiaj mi Waszmość tej łaski i bywaj nam gościem w ten święty wieczór.

Ja wysłuchałem tej mowy i odpowiadam tylko:

— *Versteh' nix!* — choć mi już z serca rwało się wyznanie, żem to ja Wit Narwoj, biedne, zbłąkane, zapomniane już może dziecko rodzone.

Na taką odpowiedź tłumaczy mi Rotnicki słowa mego ojca po niemiecku i mówi:

— Temu panu bardzoby przykro było, gdybyś Waćpan choć na chwilkę nie wstąpił. Nie bój się, panie oficerze, nie odwlecze to naszego odjazdu. Jestem ja mężczyzną, i dotrzymam parolu na każde skinienie twoje. Gdym do nich wpadł niespodzianie, mieli zasiadać właśnie do wieczerzy. Smutny ja gość — i nie na żarty jedenasty. Zastałem bowiem dziesięć osób, a ze mną jest teraz jedenaście. Możeś słyszał kiedy panie oficerze, że to *omen* u nas nie dobry, a tym razem *omen* ten, kto wie, azali się nie sprawdzi, Prosi cię tedy JMC pan

Narwoj, panie oficerze, abyś wstąpił na polski opłatek, i był dwunastym gościem w domu.

Przyszedłem już nieco do siebie i ochłonąłem z pierwszej impresyi. Nie porzuciłem jednak mojej maski, ale odpowiadam Rotnickiemu po niemiecku:

— Niechaj i tak będzie, kiedy tak chcecie, ale pamiętaj Waćpan na parol i bądź mi gotów na każdą komendę do powrotu.

I skłoniwszy się memu ojcu, poszedłem za nimi do dworu. Przyszedłszy do komnaty, w której zastawiono do wieczerzy, tak się czułem przejęty rzewnością niewysłowioną, a tak byłem tą całą irytacyą serdeczną zmięszany, żem się ledwo do koła ukłonił, a już na pierwszy lepszy stołek się zsunąłem, bom osłabł okrutnie. Tak siedziałem chwilę nieruchomy, patrząc tylko dużemi oczyma do koła, jakbym się dopiero co ze snu ciężkiego obudził.

Tymczasem wszyscy, co byli w komnacie, patrzali na mnie zwyczajnie jak na Niemczysko. Hania spoglądała na mnie ukradkiem, smutnem i niechętnem okiem, bo widziała we mnie strażnika swego narzeczonego, młodzi jacyś panowie podkręcali wąsików z junacka, mierząc mnie od ostróg aż do harbejtla — jedna tylko matka łagodnie i z grzecznym uśmiechem mnie powitała.

Naraz jeden z tych młodych ludzi, ubrany w mundurek namiestnika kawaleryi komputowej, przystępuje do mnie, mierzy mnie z grzecznym, ale junackim uśmiechem i mówi:

— My się już znamy, Mości oficerze!

Patrzę na niego i widzę, że to ten sam junak, co mi tak dokuczył w mojej wyprawie po księdza. Wpatruję ja się w niego uważniej i poznaję teraz dobrze, że to mój brat, ów Andruś, który dziś urósł już jak dąb i zrobił się chłop duży i mężny. Uśmiechnąłem się do niego tak samo, jak on do mnie i odrzekłem po swojemu:

— *Versteh' nix*!

— Waćpan dziś naszym gościem, tom mu rad — mówi dalej mój brat Andrzej, pokręcając ciągle wąsika — ale już tego przenieść nie mogę, aby Waćpanu przecie nie wymówić, żeś mi dziś rano nie całkiem czystym fortelem wyrzucił szablę z ręki!

Ja zaś znowu na to:

— *Versteh' nix*!

Wtedy Andrzej obraca się do Rotnickiego i mówi:

— Panie Justynie, powiedz, proszę, temu Ferszteniksowi, że chociaż mu się ze mną udało, to jeno do razu sztuka, i że przecieżbym się nie bał pójść z nim raz jeszcze na gołe łby i spróbować się na pałasze!

Siedziałem dotąd spokojnie na krześle, a teraz powstałem i ozwałem się do Rotnickiego po niemiecku:

— Panie oficerze, a co z nami będzie?

On na to odszedł od swojej panny a mojej siostry Hani i odparł:

— Jeżeli taka wola Waćpana, to możemy jechać...

Widząc nasz ruch, jakoby do odjazdu, Hania popatrzyła na mnie przez łezki, oczyma smutnemi, które zdały się błagać i gniewać od razu. Podchwyciłem to spojrzenie, a Hania okryła się rumieńcem aż po uszka i spuściła oczy.

— Panie Rotnicki — mówię ja teraz — bądźże mi tłumaczem u tej pięknej panny. Markotno mi to jest bardzo, że nie mogę tak uczynić, jakby przystało grzecznemu kawalerowi, i że wołając Waćpana do odjazdu, serduszko zasmucam; ale już Waćpan sam poręczy, że inaczej nie można.

— Ha, kiedy inaczej być nie może — ozwał się teraz mój rodzic, widząc, że Rotnicki z Hanią się już żegna — to choć z ciężką afflikcyą, zgodzić się na to trzeba. Zasmuciliście nam wieczerzę, Mościpanowie, i żałość zostawicie w sercu przy tak wesołej w chrześciańśtwie chwili. Jedźcież z Bogiem, ale choć opłatkiem się z nami przełamcie...

Jakoż wzięto się do opłatków i starym świętym zwyczajem obdzielano się nim nawzajem. Ja się cofnąłem w kąt i patrzyłem na to niby z miną Niemca, co tej ceremonii ani widział jeszcze, ani rozumie, ale w duszy robiło mi się coraz rzewniej, i czułem, że się przy tej komedyi długo nie utrzymam. Kiedy tak patrzę, udając obojętność, a w oczach mokro mi się robi, widzę jak matka moja droga idzie wprost ku mnie z opłatkiem.

— Panie oficerze — mówi do mnie — choć Waćpan cudzoziemiec i naszych zwyczajów nie znasz, przyjm opłatek odemnie z dobrem sercem i po polskiej gościnności.

Teraz już dłużej wytrzymać nie mogłem. Rzuciły mi się nagle z oczu łzy jak dziecku, zaciągnąłem się głośnym płaczem i rzuciwszy się na ziemię do nóg matki, począłem całować jej nogi.

— Matko moja! — zawołałem przerywanym od płaczu głosem — wszak to ja syn wasz, czyż mnie nie poznajesz!

Matka moja, która się z razu była srodze przelękła tego dziwnego impetu, spojrzała na mnie takim wzrokiem, że go opisać nie potrafię, a nigdy nie zapomnę, i zawołała wielkim głosem:

— Wituś! Wituś! dziecko moje kochane, stracone!

Przybiegli zaraz wszyscy, aby matkę moją podtrzymać, bo zachwiała się na nogach, na pół zemdlona od nagłego, a wielkiego rozczulenia. Ale choć sama mało nie upadła, mnie nie puściła, tylko trzymając głowę moją w swych dłoniach, całowała mnie ze łzami.

Co potem nastąpiło, tego wam już nie opiszę. Dopieroż zaczęli się wszyscy od razu cisnąć do mnie i ojciec i Hania i brat Andrzej i Rotnicki, a witać, a ściskać, a całować, a dziwić się, a rozpytywać, żem nie wiedział kogo mam ująć w ramiona i komu odpowiadać. Byłoż tu wesela i serdecznego płaczu, i wykrzyków radośnych i wymówek i wzajemnego wynurzania czułych affektów!...

Kiedy się już trochę uciszyło, Rotnicki figlarz przystępuje do mnie i mówi służbisto i po niemiecku:

— Panie oficerze, a co z nami będzie? Czas jechać, godzina dawno już minęła!

— Ejże, nie żartuj szwagraszku — ozwałem się na to — bo parol twój mam, a jak cię za słowo wezmę, to co Hania powie?

Siostrzyczka Hania na to, jak stała za mną, tak mnie rączkami nadobnemi ująwszy, usta pocałunkiem zamknęła...

— Mości panowie! — zawołał tedy brat Andrzej, przystępując ku nam z kilku młodymi junakami w mundurach kawaleryi komputowej — ja jako namiestnik chorągwi, biorę was w areszt obódwu, a zwłaszcza ciebie, panie oficerze pruski, a to za przekroczenie granic Rzeczypospolitej. Wiedz Wasze, że jestem tu na ordynansie i mam komendę ludzi, i nakaz surowy, abym pod animadwersyą artykułów wojskowych strzegł granicy przed gwałtami waszych pruskich żołnierzy. Proszę Waćpana o szpadę!

Pomagała mu Hania, a nim się na odpowiedź zdobyłem, już mi moja droga siostrzyczka odpięła szpadę i Andrzejowi oddała. Zaraz też proszono, byśmy zasiedli do stołu, przy którym ja już byłem niespodziewanym dwunastym gościem. Po wieczerzy dopieroż to było opowiadania i radości! Aż do mszy pasterskiej siedzieliśmy na tej wesołej gawędzie, a com wycierpiał przez tych lat ośm mej pruskiej służby, to mi zda się Bóg dobrotliwy wynagrodził tego dnia szczęściem serdecznem, słodką, a tak długo nie znaną pieszczotą mej matki i całego rodzeństwa.

Już dzień dobry był, kiedy rzuciłem się ubrany na łoże, aby się przespać trochę; i owo miałem sen ciężki i groźny, jakby ostatnie przypomnienie mej żołnierskiej niedoli. Snił mi się pan oberster mój, graff Koggeritz, jak mnie przed nim schwytanego stawił patrol dragonów; śniły mi się kajdany i *krygsrecht* i cały straszliwy ów rygor artykułów wojennych... Obudziłem się oblany potem zimnym i przetarłem oczy w sennym lęku — a tu widzę słodki uśmiech mej matki, która siedziała u mego wezgłowia, i już mnie sama budzić chciała, tak się w tym śnie moim szamotałem i tak krzyczałem ustawicznie po niemiecku...

Byłem niespokojny, czy nie wyszlą Prusacy za mną pogoni za granicę, a łatwoby mnie tu byli znaleźli; — ale Andrzej, który podczas gdy spałem, podjechał był z swą komendą umyślnie na zwiady pod granicę, doniósł mi, jako cała chorągiew moja wskutek nagłego rozkazu wczoraj o północy jeszcze na łeb na szyję odmaszerowała w niewiadomym kierunku z owego miasteczka.

Tak się skończyła moja ośmioletnia wojaczka pruska, ale pan graff Koggeritz wyśnił mi się przecież, bo ano, co powiecie? żem się z nim spotkał jeszcze w dziesięć lat później w osobliwszej przygodzie, którą da Bóg, kiedyś wam także opowiem...

Taką to z dziwnego a miłościwego zrządzenia Opatrzności miałem wigilią *Anno Domini* 1760.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CZERWONY PIES.

W jasny wieczór latowy powracał do domu kat Chłapka z swoim parobkiem Marcinem przez różne bezdroża i manowce, by ujść Tatarom, którzy zalegali wówczas całą okolicę po nad Wartą.

„Broń nas Boże od spotkania się z Tatarami", rzekł Marcin. „Zabijają oni co natrafią i nasza chata dawnoby zburzoną była, gdybym ją nie był obstawił kościotrupami psów, koni i wołów, by im pokazać, kto w niej zamieszkuje."

„Gdybyśmy się tylko dostali do naszego wzgardzonego domu. Zapewne nie zachce się Tatarom niepokoić ubogiego kata w jego gnieździe," odpowiedział Chłapka.

Gdy domawiał tych słów, ogarnęła ich niezmierna jasność. Ze wszech stron spadały z nieba ogniste kule i gwiazdy, a przed sobą ujrzeli czerwonego psa, który niósł w pysku koszyczek. Kat bez namysłu schwycił go, a w okamgnieniu miał go już Marcin na powrozie i prowadził za sobą to zwierzę osobliwej piękności. Z chciwością spojrzał teraz Chłapka do koszyka, lecz jakże się przeląkł ujrzawszy w nim małą dziecinę, która go powitała głośnym płaczem. Stanął, nie wiedząc co począć. Marcin zaś rzekł: „Zostawmy w boru tego krzykacza. Mógłby on nam jeszcze sprowadzić na kark nieprzyjaciół, a wasza baba pięknie by was powitała, gdybyście jej taki podarek przynieśli".

„Marcinie, Marcinie", odpowiedział Chłapka: „Wszakże miłe ci twe życie i unikasz jak możesz dostania się w ręce nieprzyjaciół, a to małe stworzenie chciałbyś zostawić w lesie na pożarcie wilkom i niedźwiedziom?"

Parobek umilkł i całą drogę nie odezwał się już powtórnie, lecz myślał sobie. „Nieśże głupcze ten niepotrzebny ciężar do domu, Marcyna natrze ci za to uszu do sytu".

Powitanie pani katowej nie było bardzo przyjazne. Mruczała niemało na męża, że się za długo bawił w podróży, lecz ułagodziła się nieco, gdy jej ślicznego psa pokazał.

Marcyna zrewidowała koszyk i skrzywiła się jak po occie, ujrzawszy co w nim leżało; lecz gdy jej Chłapka opowiedział wszystko, jak im się pies z koszykiem ukazał, uspokoiła się i rzekła: „Trzeba być radą i temu. Dziewczę może nam się na co przydać, boć i tak żadna dziewka u nas służyć nie chce. Wychowam ją po swojemu i nauczę ją pracować."

W koszyku znalazła stara baba złoty pierścień, który starannie schowała.

Wszelkie dopytywanie o ród dziecięcia było w owych zamięszaniach wojny z Tatarami zupełnie niepodobnem. Do wszelkiego podobieństwa pochodził mały podrzutek bardzo z daleka, a może nawet z jakiej tatarskiej rodziny, bo psa takiego jak ten, który go nosił w koszyku, nie widział jeszcze nikt w całym polskim kraju.

Marcyny kwaśne oblicze ułagodziło się mimowolnie przez słodki uśmiech dziecięcia. Nazwano ją Kasią, i nie wiele lat upłynęło, a młoda dziewczynka stała się pociechą i radością wszystkich w domu. Nero, czerwony pies, był jej wiernym przyjacielem i dzielił wszystkie jej dziecinne zabawy.

Kasia doszedłszy lat dziewięciu zapoznała się przypadkiem z dziećmi młynarza z sąsiedniej wioski. Paweł i Jadwiga odwiedzali ją często, lecz ojciec zakazał im w krótce uczęszczać do domu kata. Odtąd widywały się dzieci tylko ukradkiem, lecz lubiły się bardziej.

Kasi najgorętszem było życzeniem, by mogła razem z Jadwisią chodzić do szkoły, jednakże nie mogła się ani spodziewać tego.

Gdy dnia jednego towarzysze Kasi znajdowali się w szkole, ona błądziła po polach, a Nero skakał wesoło przed nią. Z pola poszła do lasu

i szła coraz dalej zbierając kwiatki, gdy w tem ujrzała małą chatkę w oddaleniu. Wielka ciekawość zdjęła ją, ktoby tam mieszkał. Nero dopomógł jej w tem niebawem, bo na jego szczekanie wyszedł z chatki starzec z długą siwą brodą i słodkiem, łagodnem obliczem. Człowieka w podobnym ubiorze nigdy jeszcze nie widziała Kasia. Był cały w czerni, a na piersiach miał krzyżyk żelazny. Stanęła nieśmiało oglądając się za psem; lecz gdy starzec zbliżył się do niej z uprzejmą postawą, nabrała odwagi, i poszła za nim do jego mieszkania. Starzec rozmawiał z nią wiele o Bogu i o jego dobroci, o jego dziełach i jego miłości dla stworzeń swoich.

Te nauki, które pierwszy raz w życiu słyszała, zrobiły na niej niewymowne wrażenie, i cały świat i wszystkie na nim rośliny zdawały jej się sto razy piękniejsze odkąd wiedziała, kto był ich stwórcą. Słowa starca, iż wie o tem z księgi, która się biblią nazywa, wznieciły w niej chęć wielką do uczenia się czytać. Męczyła więc tak długo swemi prośbami pustelnika, dopókąd nie przyobiecał, iż ją uczyć będzie.

Kasia zapoznała także Pawła i Jadwisię ze starym pustelnikiem, i było to odtąd dla wszystkich trzech największą przyjemnością, gdy mogli iść do pustelniczej chaty.

Młynarz przekonawszy się, jak dobrą i pobożną była Kasia, nie wzbraniał jej później przystępu do swojego domu.

Kasia pojmowała naukę religii i historyę świętą, opowiadane przez pustelnika, daleko lepiej, niż jej towarzysze, i często im je przypominała. Poczciwy starzec wystarał się o to, iż jej wolno było chodzić do szkoły w pobliskiem miasteczku z Jadwigą i Pawłem. Lecz to nie długo trwało. Prawie wszyscy rodzice opierali się temu, by córka kata chodziła do szkoły razem z ich dziećmi, musiano więc oddalić Kasię.

Biedna dziewczyna wylewała łzy gorzkie, widząc się tak poniżoną. Lecz i tu znowu przyszedł jej w pomoc pustelnik. Za jego staraniem przyjęła ją przełożona jednego klasztoru, i wkrótce Kasia, przy wielkiej pilności, umiała daleko więcej, niżeli dawni jej towarzysze szkólni. Najbardziej jednak dręczyło ją postępowanie rodziców. Ojciec należał do bandy złodziei, i widziała nie raz jak się dzielił z drugimi skradzionem dobrem bliźniego. Pożyczyła sobie pobożnych ksiąg od pustelnika i czytała z nich często rodzicom. Ojciec nie chciał nigdy słuchać jej czytania, lecz matka łatwiej się do tego nakłonić dała.

Na Marcynie robiły pobożne nauki, zawarte w świętych księgach, widocznie dobre i zbawienne skutki, bo i ona starała się odwodzić odtąd męża od jego bezbożnego życia; jednakże było to rzeczą niepodobną.

Po kilku latach Kasia wyrosła na piękną i cnotliwą dziewczynę. Marcyna nie mało była dumną na taką córkę, lecz martwiła się myślą, iż pogardzona córka kata, pomimo swych cnót, zręczności i piękności, nie może pokazać się między ludźmi.

„Kochane dziecko," rzekła do niej dnia jednego. „Jesteś dla twoich rodziców wzgardzoną od całego świata, lecz nie smuć się. Postaram ci się o znaczenie, jakiego mało kto w świecie dostąpić może. Trzydzieści lat przeszło oczekiwałam czegoś cudownego, teraz znalazłam to dla twojego szczęścia. Od trzech dni ukazał się u nas duży czarny kot, czatuję już dawno na niego, lecz dotąd nie mogłam go schwycić. Jeszcze raz zamyślam uciec się do mojej sztuki, lecz potem nigdy.

Kasia chciała ją odwieść od tego, lecz wszystko było na próżno.

Marcyna rozniecila wielki ogień na kominie, postawiła nań kociołek z wodą, w którą wsypała korzeń balderyanu, żywokostu i rozmaitych innych ziół i korzonków. Gdy były ugotowane na miazgę, wylała je na miskę, kazała Kasi otworzyć drzwi, i zaczęła zwoływać kotów, które się też w wielkiem mnóstwie stawiły miaucząc przeraźliwie. Stara baba odganiała je wszystkie, dopiero gdy się ukazał wielki, czarny kot z białym ogonem, schwyciła go, wsadziła w miech i zawołała z radością: „Kasiu, twoje szczęście zrobione." Potem zamknęła go do komory. Aż do wigilii nowego roku pasła Marcyna osobliwego kota w komorze; gdy nadeszła noc nowego roku, udała się w milczeniu z Kasią i z czarnym kotem w miechu na rozstajną drogę. Tutaj zrobiła kocią łapą wielkie koło na śniegu, w chwili, gdy z przyległej wieży kościoła zaczął bić zegar dwunastą godzinę. Naraz zjawił się jakiś człowiek przebrzydłej postaci, wcisnął Marcynie w rękę talara, odebrał czarnego kota i znikł wśród ciemności nocnych.

W milczeniu wracały teraz do domu. Marcyny życzenie zostało spełnione, dostała inklu-

ża, to jest talara przyciągającego do siebie pieniądze. Teraz było w domu kata pełno pieniędzy, a chociaż przypadkiem wydano inkluza, powrócił napowrót niebawem.

Majster kat poprzestał odtąd kraść, na usilne prośby żony i Kasi, i słuchał co wieczór z szczerą skruchą czytania Kasi w pobożnych i nauczających książkach. Odwiedzał nawet dobrego pustelnika i radził go się, jakby przebłagać Boga za grzechy. Marcin nie dał się w żaden sposób rozłączyć od bandy złodziei, musiał jednak cierpiany być w domu Chłapki, jako wiedzący dawne jego sprawy.

Wiele lat upłynęło od poprawy kata. Paweł poszedł na wojnę z Tatarami. Jadwiga poszła za mąż za poczciwego rzemieślnika w przyległem miasteczku. Marcyna zachorowała niebezpiecznie i żądała spowiednika, któryby jej przyniósł pociechę i przebaczenie za ciężkie grzechy. Otrzymała je też za wstawieniem się dobrego pustelnika. Gdy już czuła zbliżającą śmierć, zawołała Kasię do siebie, oddała jej inkluza i pierścień, który znalazła w koszyku z nią razem, i rzekła do niej słabym głosem: „Nero i ten pierścień twoją są własnością, ty jesteś podrzutkiem, i nic nie wiemy o twoich rodzicach. Tego inkluza oddaję ci za cały majątek. Użyj na dobre bogactw, które on ci sprowadzi." Przejęta najszczerszą skruchą, przeniosła się po tych słowach do wieczności.

Kasia była niepocieszoną po stracie matki. Ostatnie słowa tejże oświeciły ją, iż była podwójnie sierotą; bo nietylko że straciła matkę, lecz jej ojciec zdawał jej się odtąd obcym, gdy się dowiedziała, iż była tylko wychowanką jego. Lecz tem większą czuła dlań wdzięczność za to, iż ją wychował, i zajmowała się zarządem jego lichego gospodarstwa z zadziwiającą roztropnością i wprawą.

Pewnego dnia wszedł Marcin do izby starego Chłapki i tak odezwał się do niego: „Jesteście mi wiele winni wdzięczności i musicie mnie wynagrodzić zawczasu. Zestarzeliście się, a wasza przybrana córka wyrosła; dajcie mi ją za żonę, odstąpcie mi waszego rzemiosła, a wy udajcie się na spokojność."

Kasię przejęła zgroza na myśl zostania żoną niegodziwego złoczyńcy; ojciec nie przymuszał jej wcale i odrzucił oświadczyny Marcina z dodatkiem, że nigdy sobie nie życzył, by Kasia została na zawsze pod tym wzgardzonym od świata całego dachem, i że czuje dość jeszcze sił w sobie, by swemu rzemiosłu poradził.

Marcin zgrzytał zębami i zawołał grożąc Chłapkowi: „Poczekaj stary, dumny głupcze; szlachcic nie przyjdzie po twego podrzutka, a z twoim rzemiosłem wkrótce przyjdzie do końca."

Mało zważając na groźby Marcina, polecił Chłapka córkę i siebie opiece niebios. Nieprzeczuwał nawet, jak niegodziwe zamiary knuł Marcin przeciwko niemu. Ten okradł przed kilku tygodniami z innymi złoczyńcami pałac księcia w przyległem mieście, i skradzione złoto i srebro zakopał w boru. Postanowił więc oskarzyć Chłapkę przed księciem o tę kradzież, udał się do zamku, lecz został odegnany przez służbę. Jednakże wzmianka, iż ma ważną rzecz do powiedzenia księciu, wyjednała mu później posłuchanie. Musiał się zmyć od stóp do głów i czysty przywdziać ubiór, nim go wprowadzono przed księcia. Oskarzył bardzo wyraźnie swego majstra, siebie zaś potrafił wystawić w najlepszem świetle, i mówiąc, iż musiał milczeć dotychczas, z obawy, by chleba nie stracił bo nikt nie przyjąłby parobka, który służył u kata, a więcej takich majstrów nie masz w całej okolicy.

Gdy złoto i srebro znalezione zostało na naznaczonem przez Marcina miejscu, kazał książę wsadzić Chłapkę do więzienia, i oddał rzemiosło i dom jego Marcinowi.

Kasia rzuciła się do nóg możnego władzcy, błagając o litość nad ojcem. Lecz wszystkie jej łzy i zapewnienia o jego niewinności były daremnemi. Książę powiedział, że i ona jest w podejrzeniu, winna tylko prośbom Marcina, iż jej wolność zostawiono.

Kasia została znów opuszczoną na świecie. Nic jej nie pozostało, jak ów pierścień. Wszystkie pieniądze, nawet inkluz, zabrane jej zostały. W domu pozostać z Marcinem niepodobno jej było, dla tego udała się do swej przyjaciółki Jadwigi, lecz ta lękając się obmowy ludzkiej, nie chciała jej przyjąć do siebie. Gdy się oddaliła, przybiegła za nią służąca Jadwigi, która ją kazała przeprosić za takie się z nią obejście i oddała jej pieniądz w prezencie od pani. Kasia wzbraniała się przyjąć go, lecz przypatrzywszy mu się bliżej poznała, iż to był jej inkluz.

Nero, który zawsze był około Kasi, nie opuścił jej i teraz, i jeszcze przyjaźniej łasił jej się i lizał jej ręce.

„Drogie zwierzę", mówiła Kasia, głaszcząc go zwilżoną od łez ręką. „Ty od mej młodości strzegłeś mnie i czuwałeś nademną, i jesteś wierniejszym przyjacielem, niż niestali ludzie"!

Wtem Marcin, który jej szukał wszędzie, przybliżył się do niej i namawiał ją, by powróciła do niego. „Wszystko jest gotowem na twoje przyjęcie", mówił. „Książę postanowił mnie na miejsce ojca twego. Obrałem ciebie za żonę i podzielę z tobą me mienie."

„Niegodziwy człowieku, odstąp odemnie", zawołała Kasia z oburzeniem, „nigdy noga moja nie przestąpi progu domu, w którym ty mieszkasz." Gdy tych słów domawiała, skoczył Nero z wściekłością na niego, a złoczyńca ledwo się mógł obronić zajadłości tak zwykle łagodnego zwierzęcia. Z szyderczym śmiechem opuścił zbrodniarz dziewczynę i pomyślał sobie: „Bieda zmusi cię powrócić do mnie, gdy cię wszyscy odepchną od siebie jako córkę kata. Mam cię zresztą w mej mocy, a bojaźń więzienia skłoni cię także do tego."

(Dokończenie nastąpi.)

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Na to bym przysiągł! — zawołał Henryk. — Raz tylko pisał do mego stryja, polecając mnie jego opiece; często odczytywałem ten jedyny list ojca mojego; a każda głoska tego pisma niezatarty ślad w mej pamięci zostawiła; pismo więc jego ręki jest mi dobrze znane. A zresztą któż inny by się znalazł, kogoby los mój zajmował?

Rektor milczał przez chwilę.

— Masz słuszność, — odrzekł zamyślony. — Jednak to dla mnie trudne do zrozumienia... Znasz tedy propozycye twojego ojca; teraz, Henry, posłuchaj moich: Nie potrzebuję ci mówić, żem bogaty, a dzieci nie mam. Dochody z mojej parafii są mi obojętne, przy moim dostatecznym majątku. Masz zdolności, mogące cię zrobić ozdobą kościoła, lub każdej innej karyery, jakiejbyś się chciał poświęcić. Posłałbym cię więc na wszechnicę do Oxford. Byłbym szczęśliwy, gdybym kiedyś na ciebie mógł zdać moje urzędowanie, i zrzec się na twoją korzyść dochodów, stanowiących wyposażenie tego probostwa.

— Co mówisz, mój zacny mistrzu! — za-

wołał młodzieniec zdziwiony i rozczulony szlachetną ofiarą rektora. Oh, nigdy! nigdy! twoja pobłażająca dobroć dla mnie uczyniła cię ślepym na moje niezliczone wady; ja do niczego innego nie zdatny, jak do walki ze światem; zużyłbym się w bezczynności, jak drzewo przesadzone w nieżyzny grunt. Nie śmiem wyznać ci mego szaleństwa, mojej słabości, ale nie jestem godzien sprawować tego szczytnego, świętego urzędu, który ty swoją przykładnością i cnotliwem życiem przyozdabiasz; żal bezskuteczny za niepowrotną przeszłością i walki ustawiczne przeciw namiętnościom, byłyby moim udziałem. Nie, tego przyjąć nie mogę, co mi tak wspaniałomyślnie ofiarujesz.

Słowa te wyrzeczone były tak stanowczo, że zacny pleban nie nalegał więcej, czując, że próżne byłyby dalsze namowy.

— Postanowiłeś więc udać się do Indyi?— zapytał.

To się rozstrzygnie za kilka godzin, które mnie zrobią najszczęśliwszym, lub najnieszczęśliwszym z ludzi.

— Nie rozumiem... co chcesz powiedzieć?

— Ja sam zaledwie to rozumiem, co pragnę; od kilku dni ogień noszę w mojem sercu. Przebacz mi, szanowny przyjacielu; ale jestem jak dziecię uparte, głuchy na wszystko, co mi nie mówi o nadziei!

Po tych słowach, biedny chłopiec przycisnął z uszanowaniem i czułością do ust rękę doktora Orine i wyszedł z biblioteki. Nim jeszcze zacny starzec przyszedł do siebie z osłupienia i wstał, by pospieszyć za uczniem swoim, ujrzał go już pędzącego cwałem przez błonia, w kierunku starego opactwa.

— Oszalał! — wykrzyknął, — istotnie oszaleć musiał!

— Jeszczebyś pan to raz powtórzył, gdybyś o wszystkiem wiedział! — rzekła jego stara gospodyni, która wchodząc do pokoju, usłyszała te słowa.

— Cóż takiego miałbym wiedzieć? — zapytał z popędliwością.

— To, że od czasu jak zaczął bywać w opactwie Carrow, master Harry jest zakochany.

— A to wyborne! zkądże ci taka śmieszna myśl powstała w głowie? Zakochany! Ciekawa rzecz, w kimby się miał zakochać tam, w starym zamczysku? czy w mojej szanownej znajomej mistress Jarmy, co mogłaby pewnie być jego babką, ba! prababką nawet, jak sądzę.

— W miss de Vere, łaskawy panie, — odpowiedziała ochmistrzyni ze złośliwym uśmiechem.

Rektor z zadziwieniem wpatrzył się na staruszkę.

— Mistress Jarmy była wczoraj wieczór na herbacie u mnie, — dodała tonem tajemniczym.

— Doprawdy?

— I opowiadała, że wszyscy domowi zauważali, jak oboje młodzi szukając wzajemnie swojego towarzystwa, jeżdżą razem konno!

— Harry jest wybornym jeźdźcem!

— I razem błąkają się po zwierzyńcu...

— To nic dziwnego w ich wieku.

— A miss Ellena chodzi posmutniała, ile razy master Harry nie pokaże się w zamku...

— Kochana mistress Page! bardzo cię proszę, abyś więcej nie powtarzała podobnych niedorzeczności.

— Będę posłuszną życzeniu pańskiemu.

Miss de Vere jest jeszcze dzieckiem, również i Harry. To prawdziwie śmiesznie przypuszczać nawet, aby sobie podobnemi niedorzecznemi myślami głowę zaprzątali. Idźże sobie! zgniewałaś mnie twemi plotkami. Już doprawdy zapomniałem, com miał dysponować na obiad. Zadzwonię później na ciebie.

Klucznica, która zwyczajem sług u ludzi bezżennych miała siebie za bardzo ważną osobę w domu, odeszła urażona zamykając drzwi z łoskotem.

— Biedne dzieci! — szepnął z westchnieniem doktor Orine. — Teraz dopiero wszystko rozumiem. Godni są politowania! Ale sir William i ja najwięcej zbłądziliśmy obydwa; powinnością naszą było przewidzieć tę miłość i wcześnie jej zapobiedz.

Wkrótce potem zacny rektor wziął kapelusz i laskę i wyszedł z domu, nie zapowiedziawszy nawet, co ma być na obiad, a ta okoliczność tak nadzwyczajna, do reszty potwierdziła domysły podejrzliwej mistress Page.

XII.

Ellena de Vere oczekiwała z utęsknieniem swego wybawcy. Sama nie wiedząc dla czego, lękała się, aby ten list, przybyły z obcej krainy, nie był złą wróżbą dla jej młodego przyjaciela.

Kobiety mają zazwyczaj jakieś tajemne prze-

czucie nieszczęścia, jeżeli miłe im osoby są niem zagrożone.

Zara zwracała baczną uwagę na swoją młodą panię. Wiadome jej było przybycie posłańca z dworku i domysły sług w skutek poselstwa Joego.

Ellena nie mogła utaić przed okiem mamki, przywykłej od lat dziecięcych czytać wszystko w jej twarzy, niespokojności, która nią miotała; ayah więcej niż kiedy była przekonaną o miłości istniejącej między tą młodą parą.

Kiedy więc jej wychowanka, prawie zaraz po śniadaniu z wujem w bibliotece, odeszła do salonu, ayah udała się za nią tajemnie i ukryła się za draperyą aksamitną, zdobiącą okna, pragnąc usłyszeć wszystko, co będą mówili.

W tym pokoju zwykle Henryk Ashton odwiedzał młodą sierotę.

Nie dał na siebie długo czekać. Ale pomimo bystrego słuchu piastunki, Ellena w skutek przeczucia miłości, usłyszała prędzej od niej kroki swojego przyjaciela na schodach zamku.

— Rzeczywiście kocha go! — pomyślała Indyanka, — serce jej z oddalenia słyszy go i poznaje chód jego!

Za chwilę synowiec dzierżawcy wszedł do komnaty.

— Dzień dobry, miss de Vere, — odezwał się, — przyszedłem ze smutną wiadomością do zamku.

— Ze smutną wiadomością? — jęknęła Ellena.

— Smutną przynajmniej dla mnie, — odrzekł młodzieniec, patrząc na nią z namiętnem uwielbieniem, — dla mnie, com zakosztował rozkoszy tak miłych stosunków z wami, żem zapomniał prawie o istnieniu świata po za obrębem Carrowskiego zamku. Kto wie, czy nie ostatni raz tu przebywam... Otrzymałem list od mojego ojca, mieszkającego w Indyi.

— I pragnie, abyś pojechał do niego, Harry... przebacz, chciałam mówić: panie Ashton... Ma słuszność zapewne, pan posiadasz energię i talenta, które w świecie przydać się mogą. Przekonaną jestem, że się tam panu poszczęści, że będzie szczęśliwym...

— Szczęśliwym! — powtórzył smutnie, — gdybyś miss de Vere czytać umiała w mojem sercu, nie szydziłabyś w sposób tak dotkliwy. Szczęśliwy w świecie! mógłbym wśród doświadczeń gorzkich i ciężkiej walki ze światem, znaleźć wreszcie odrętwienie i spokój, jak morze, gdy jego burze ucichną... może uda mi się śmierć spotkać, ale szczęście nigdy...

— Dla czego? — spytała, podnosząc oczy ku niemu.

— Bo szczęście dla mnie jest tak wysoko, że trzeba być szaleńcem, aby się silić do osiągnięcia go; bo kocham!... Pogardzaj mną, odpędź mnie, jeżeli chcesz! ale najprzód chciej mnie wysłuchać! — zawołał klękając przed nią. — Po raz pierwszy i ostatni śmiem cię obrazić!... Pomimo różnicy stanu i urodzenia, przesądów społecznych, które nas dzielą, pomimo mej niegodności a twoich zalet, które cię tak wysoko nademnie postawiły, ośmieliłem się kochać ciebie!... Od pierwszej chwili, kiedym cię ujrzał, obraz twój nie wyszedł z mojej pamięci! Tyś pierwsza zrobiła wrażenie w sercu mojem, to wrażenie będzie też i ostatniem!...

— Henry!...

— Wiem co mi powiesz! — przerwał jej z żywością, — ale nim rozkażesz bym się oddalił, nim mnie w rozpacz pogrążysz, powiedz, przez litość, że mi przebaczasz! że mną nie gardzisz za to, żem śmiał wzrokiem miłości spojrzeć tak wysoko! Niech przynajmniej tę pociechę zabiorę z sobą na obcą ziemię! Twoja wzgarda zabić mnie zdoła!...

— Wzgarda! odemnie! — powtórzyła Ellena, a twarz jej śliczna zapłonęła rumieńcem. — O jakże mało znasz moją duszę, Harry! kiedyś nie umiał czytać w mych oczach wdzięczności i szacunku... miłości mojej! — dodała z przyciskiem, porzucając wachanie, jakie ją z razu owładło, i podając rękę klęczącemu młodzieńcowi. — Tak jest, Harry, miłość, bo dla czegoż mam własne oszukiwać serce? Pod względem zwyczajów światowych jestem nieświadomą jak dziecko, i być może, że napotkamy wiele przeszkód, wiele trudności trzeba nam będzie pokonać; ale miłość moja będzie dość silną, by przetrwać wszystkie walki i przezwyciężyć zapory, dzielące nas od siebie, a jeżeli przeznaczenie nie pozwoli mi, bym ci mą rękę oddała, zapewniam, że do nikogo innego należeć nie będę...

Ayah w kryjówce swojej słysząc te wyrazy, uśmiechnęła się gorzko i pomyślała zarazem:

— Zobaczymy! zobaczymy co przyszłość tai dla ciebie w swem łonie! Przeznaczenie kłam zada tym dziecinnym obietnicom!

Lecz któż zdoła opisać radość i uniesienie

młodego Ashtona, patrzącego w oblicze młodej dziewczyny, zapłonionej jak róża w rozkwicie, wyznającej mu tak otwarcie swą miłość dla niego? W zachwycie pełnym wdzięczności, chciałby był jej stopy ucałować. Wszak był w upojeniu pierwszego snu miłości, a wzajemność kochanki uzupełniła ten słodki urok.

— Elleno! moja najsłodsza Elleno! — zawołał poglądając na nią z tą nieokreśloną czułością najszlachetniejszej miłości, mającej źródło w zacności młodej dziewiczej duszy; — jakże ci mam wyrazić me szczęście i wdzięczność moją? Wszystkie usiłowania życia mojego poświęcę dla ciebie, każde uderzenie mojego serca nie będzie odtąd innego mieć celu, oprócz szczęścia twojego; troskliwość moja uprzedzać będzie najmniejsze twoje życzenia; życie moje uważać będę jako nowy dar nieba, któremu twa miłość dopiero prawdziwej udzieli wartosci!

Przez kilka chwil młodzi kochankowie, poglądając w przyszłość z zaufaniem właściwem młodemu wiekowi, oddawali się tym rozkosznym uczuciom, owładającym serca, pałające wzajemną miłością, miłością najpierwszą; takich uczuć raz tylko w życiu doznać można; potęga ich jest tak silną, że gdyby długo trwały, lub się powtórzyły, zabićby mogły...

— Czy nie chcesz widzieć się z mojem wujem? — zapytała nareszcie sierota. — On tak dobrotliwy i szlachetny... nie powinniśmy mieć tajemnic dla niego. Henry, pewną jestem, że nie będzie przeciwny naszej miłości!...

Zara wcale odmiennego była zdania. Wszelako przyznać była zniewolona poglądając na nich, że natura stworzyła ich, jakby byli przeznaczeni jedno dla drugiego.

— Wprzód muszę pojechać do Londynu, — odpowiedział Henryk.

— A to po co? — spytała Ellena z zadziwieniem.

— Oto, najmilsza przyjaciółko, muszę od bankiera mojego ojca powziąć o nim jakie wiadomości. Wnioskując z listu jego, domyślać się można, że stanowisko jego w Indyach musi być dosyć znakomite. Może otrzymam jakie objaśnienie pod tym względem, jakąś nadzieję takiej przyszłości, którąby mogła pojednać łatwiej sir Williama z myślą o naszej miłości, o możliwym związku między nami...

Po tych słowach pożegnali się; Henry powracał do folwarku dla pocieszenia swych poczciwych opiekunów zapewnieniem, że pozostanie w Anglii. Ellena udała się do ogródka, gdzie pielęgnowała ulubione kwiaty.

— Pojednać wuja z myślą o tem małżeństwie! — rzekła Zara, skoro oboje wyszli z pokoju, — cóż tu pomoże ten baronet zamyślony ten marzyciel samotny, jeżeli Miran-Hafaz, ognisty wielbiciel mojej Elleny, sprzeciwia się temu? Płonne urojenia wasze!...

Przybywszy do dworku, Henry zastał Macieja i jego sędziwą towarzyszkę pogrążonych w ponurem odrętwieniu. Z tego, że tak raniutko wyjechał z domu, wnioskowali, że postanowił ich opuścić, i że wachając się uwiadomić ich o swojem przedsięwzięciu, które ich tak zmartwić miało, wstał wcześniej od nich, aby się usunąć od widoku ich boleści i spóźnić ile możności tę dla nich bolesną chwilę.

— Ach, Harry! — zawołała stryjenka, — jesteś przecie!

Stryj podał mu rękę do powitania.

— Opuszczasz nas więc, chłopcze? — rzekł nareszcie.

— Nie, stryjaszku! Zastanowiłem się nad tem, i jużem się namyślił, co mi czynić wypada... nie przyjmuję tego próżnego wezwania ojcowskiego!

Staruszka zerwała się z krzesła.

— Czym dobrze słyszała? Niech cię niebo za tę myśl błogosławi! Ja zawsze mówiłam, że ty masz serce poczciwe i nie dasz umrzeć w osamotnieniu twoim starym przyjaciołom!

— Nie pożałujesz tego, Harry, — rzekł stary rolnik. — Dworek będzie cały dla ciebie, a gdy stary Maciej Ashton umrze, może być, że jego spadkobierca będzie w stanie podnieść głowę wysoko pomiędzy tymi, co się dziś nad nas wynoszą!

— Oby ten dzień był jeszcze bardzo daleko! — odpowiedział synowiec ściskając jego rękę, — ale pozwolisz, kochany stryju, że cię pożegnam na parę dni.

— Odjeżdżasz? — zapytała ciotka niespokojnie.

— Muszę!

— Dokąd chcesz odjechać, mój chłopaku? — zapytał gospodarz.

— Do Londynu, aby się widzieć z pełnomocnikiem mojego ojca. Może u niego zasięgnę jakich bliższych szczegółów względem jego położenia, majątku, widoków na przyszłość...

To dziwna rzecz, naprzykład, że nigdy nie wymienił mojej matki, nawet wam, dodał zamyślony.

— Istotnie, nigdy o niej nie wspomniał, — odpowiedział starzec.

Ułożono tedy stanowczo, że nasz bochater pojedzie nazajutrz do stolicy, a Joe Beans dodany mu będzie do usługi.

XIII.

Dom bankowy braci Grant i Spółki położony był w jednej z najbardziej ożywionych części Lombard-Street. Był to jeden z tych ponurych przybytków, w których Mammon lubi się ukrywać. Od wielu lat mury tej starej budowli nie były tynkowane, a ciężkie okiennice żelazne powlekała rdza i pleśń odwieczna. Dom istotnie podobnym był do kryjówki, gdzie się pieniądze zyskuje i przechowywa, tak był ciemny i smutny. Jeżeli z rana promyczek słońca przekradł się przypadkiem wązkiemi kratami przez zaproszone szyby do wnętrza tej świątyni Plutusa, uciekał wnet spiesznie ztamtąd, jak gość niezadowolony z zimnego przyjęcia, jakiego tam doznał.

To opisanie dostatecznie objaśnia naszych czytelników, że szanowna Spółka wcale nie usiłowała olśnić przepyszną wystawą przechodniów. Drzwi leniwie obracały się na swych zardzewiałych zawiasach, wpuszczając nieliczny poczet osób, które ten próg przestępowały; a jednak robiono tam, co roku, interesa miliony wynoszące, ponieważ sir James był ajentem bankowym i pełnomocnym większej części domów kupieckich w Indyi. Nazwisko jego wielce poważne na giełdzie, a podpis znaczył tyle, co gotowe pieniądze, podobnie jak bilet banku angielskiego.

Nazajutrz po swojem przybyciu do Londynu, najpierwszą czynnością Henryka Ashton było udać się do banku sir James Grant. Nie miał wiele zaufania w swych nadziejach, jednakowoż mniemał, że choć cokolwiek pewnego o swojem ojcu będzie mógł się dowiedzieć. To błąkanie się myślą po przestworzach niepewnych domysłów, dręczyło go niewymownie. Wchodząc do ponurego zabudowania, któreśmy zewnątrz opisać próbowali, w towarzystwie wiernego Joego Beans, który nie zapomniał zastrzeżenia poczciwej dzierżawczyni, aby czuwał nad bezpieczeństwem jej przybranego syna, postrzegł Henryk sześciu pisarczyków już siwiejących poważnej powierzchowności, pilnie zajętych pisaniem w swych księgach rachunkowych. Jeden z nich, najmłodszy wiekiem, raczył wstać powoli z krzesła i zbliżyć się do kantoru, straciwszy może pięć minut na oglądanie się dokoła pokoju.

— Dla Boga! master Harry! — szepnął Joe półgłosem, — to więc jest bank?

Henryk skinął głową na znak potwierdzenia.

— W moich oczach jest to miejsce śmiertelnie samotne, — odrzekł jego towarzysz. — Spodziewałem się ujrzeć tu więcej złota, niżbym unieść potrafił, a tu nic innego nie widać jak tylko kurz i pajęczynę!

Tymczasem komisant doszedł do obszernego kantoru mahoniowego, przez który codzień ogromne sumy przechodziły, i zapytał grzecznie, czem ma mieć przyjemność usłużyć tem panom?

— Przyjemność? — powtórzył Joe z rubasznym uśmiechem, — jest to osobliwsze miejsce dla przyjemności!

Wesoły śmiech poczciwego wieśniaka zbudził echa starego budynku, a piszący podnieśli głowy z miną zadziwienia.

Człowiek, który mógł sobie pozwolić tyle swobody u bankiera James, powinien być przynajmniej milionerem.

— Cicho bądź! — szepnął Henry, który za jednym rzutem oka poznał, że wesołość jego towarzysza była nie na miejscu, bo twarz komisanta, który do nich przemawiał, nadzwyczaj była poważna.

— Czy mógłbym widzieć się z sir James'em? — zapytał nasz bochater.

— Widzieć się z pryncypałem? — powtórzył z zadziwieniem pisarz.

— Tak jest, wszak to tu dom bankowy sir Jamesa.

— To prawda, ale... pryncypał nie zawsze chce się widywać z obcymi. Panie Snapgull, — rzekł obracając się do starszego z pomiędzy nich, widocznie buchaltera, bo mu okazywał uszanowanie, jakieby może nikt inny mniejszej rangi, jak dyrektor Kompanii Indyi Wschodnich od niego nie uzyskał, — oto młody gentleman, który pragnie widzieć się z sir Jamesem Grant.

Szanowny jegomość, noszący nazwisko Snapgull, podniósł szybko oczy od dziennika, w którym czytał z uwagą rachunki giełdowe, i zaczął przypatrywać się przybyłemu. Patrzał na niego wzrokiem tak podejrzliwym, jakby

szło o sprawdzenie jakiego wątpliwego biletu bankowego.

— Jak się ten pan nazywa? — spytał Snapgull.

— Proszę o nazwisko? — powtórzył młody pisarz tonem nieco grzecznym, jak jego przełożony.

— Henry Ashton.

Komisant powtórzył to swojemu zwierzchnikowi.

— Jego karta wizytowa!

Henryk ją podał. Pan Snapgull zadzwonił, wręczył bilet wchodzącemu lokajowi z rozkazem, by zaniósł do bankiera. Następnie, nie zwracając więcej uwagi na człowieka tak mało znaczącego w świecie finansowym, jak nasz bochater, zajął się znowu czytaniem dziennika.

Po upływie kilku minut, lokaj powrócił i wprowadził gościa przed wielkiego człowieka. Joe Beans kroczył w ślad za nim, pomimo piorunującego wzroku, jaki nań rzucał służący.

Pokój, do którego weszli młodzieńcy, był jeszcze ciemniejszy od pierwszego. Wszystko w nim, począwszy od kobierca rozesłanego na podłodze, aż do firanek u okien, było spłowiałe, ale nadzwyczajnie schludne. W staroświeckiem ogromnem krześle poręczowem siedział maleńki sir James. Chudy, z twarzy podobny do łasicy, całą swą powierzchownością zdradzał niezmordowaną siłę woli, albo chciwość bez granic. Podobne fizyognomie spostrzedz się dają u zwierząt drapieżnych niższego rzędu.

Odkładając na bok pióro, był bowiem zajęty pisaniem, gdy wszedł Henryk, odezwał się:

— Pan Ashton, zdaje mi się?

— Tak jest, sir James.

— Masz pan kredyt otwarty przez braci Grant z Indyi, na... pięć tysięcy funtów.

— Pięćset, sir James, — rzekł młodzian poprawiając go.

— Być może — odparł bankier z obojętnością prawdziwą czy udaną, — nie mogę tak drobnych szczegółów w pamięci zachować. Pan Snapgull zaglądnie do listu wierzytelnego. Kiedyż myślisz jechać?

— Nie mam wcale zamiaru wyjeżdżać.

— Pan... nie masz... zamiaru jechać? — powtórzył sir James zadziwiony. — Nie chcesz zwiedzić Indyi, tej krainy złota i klejnotów, to prawdziwe Eldorado na ziemi? Oszalałeś, młodzieńcze, czy co? Wiesz pan czego się pozbawiasz? majątku, sposobności nabycia sławy, wzruszeń, wszystkiego, co jest pragnieniem młodości a za czem wiek poważniejszy żałuje! Prócz tego, — dodał, — jeżeli mnie pamięć nie myli, mamy instrukcye pewne względem pana, przysłane nam przez naszych szanownych korespondentów Aleksandra i braci.

— Względem mnie?

Sir James zadzwonił dwukrotnie, a po kilku chwilach zjawił się szanowny Snapgull. Wszelki ślad zarozumiałej pychy znikł z jego pergaminowej twarzy.

— Snap! — rzekł jego pryncypał. Nazywał go tak z tej samej przyczyny, dla jakiej zwykł skracać mnóstwo wyrazów w pisaniu dla oszczędzenia czasu. — Snap! ostatni list Aleksandra?

Stary buchalter, zgadując może czego od niego żądają, przyniósł go z sobą.

— A tak! jak mówiłem, młodzieńcze — ciągnął dalej bankier przerzuciwszy wzrokiem pismo, — oto pewne uwiadomienia ciebie dotyczące. Te pięćset funtów szterlingów, są na oporządzenie twoje i na podróż... A więc, jakże zrobimy? Za dziesięć dni, statek Lady Hastings odpływa do Indji.

— Powtarzam panu, — przerwał mu Henryk, — że wcale nie myślę wybierać się do Indyi.

— W takim razie nie mogę dać ci tych pieniędzy! — zawołał sir James, widocznie tem postanowieniem młodego człowieka bardziej zmartwiony, niżby się spodziewać należało.

— Ja się też nie zgłaszam po nie! — odrzekł Henry głęboko urażony tym brakiem zaufania i przychylności, jakie ta przezorność zdradzała. — Przyszedłem jedynie w celu zasięgnięcia u pana bliższych szczegółów tyczących się mojego ojca.

— Nie umiem nic o nim panu powiedzieć, — rzekł zimno bankier. — Aleksander i bracia są jego pełnomocnikami.

— Nie mógłbyś pan dać mi jego adresu?

— Nie... nic więcej uczynić nie mogę, chyba podjąć się odesłania mu listów, jakiebyś mi pan dał do Indyi; ale radziłbym panu namyślić się jeszcze nad swojem postanowieniem. Indye, to właśnie pole otwarte dla takiego usposobienia, jak twoje. Mój dziad udał się tam, mając lat szesnaście, i nie posiadając tylko jedną gwi-

nę całego mienia; powrócił z pięciuset tysiącami funtów szterlingów. Ojciec mój wstąpił w jego ślady i uzupełnił milion. To niezbyt wiele, powiesz pan; ale były to jeszcze ciężkie czasy. Ja pojechałem tam także, przed trzydziestu laty... i widzisz pan skutki!

Wyraz zadowolenia z siebie, towarzyszący tym słowom, byłby może w innym razie uśmiech słuchacza wywołał; ale nasz bochater zbyt był zmartwiony bezskutecznością swej wizyty i zawiedzeniem swych nadziei, aby mógł na to zwracać wiele uwagi i dostrzedz śmieszności.

— Bez wątpienia, sir James, zasłużyłeś na to powodzenie, lecz nie każdy posiada twoją energię i wytrwałość. Co do mnie, jużem postanowił, co mam czynić; zostanę w Anglii, ale będę korzystał z życzliwej usłużności pańskiej, aby listy posłać mojemu ojcu. Żegnam cię, sir James!

I nie czekając odpowiedzi, Henryk Ashton wyszedł niezwłocznie.

— Nie chce jechać do Indyi! — mruknął bankier zachmurzywszy się skoro pozostał sam,— zobaczymy co to będzie! Jak gdyby to człowiek bez majątku mógł powiedzieć, gdzie pójdzie!

Napisał spiesznie kilka wierszy i polecił staremu buchalterowi, aby je odesłał podług adresu.

Tegoż samego dnia wieczorem, Ashton otrzymał karteczkę, której pismo nieznanem mu było a której treść dziwnie obudziła jego ciekawość. Oto co mu pisano:

,,Skorzystaj jutrzejszego wieczora z tego, co tu znajdziesz załączone, jeżeli pragniesz spotkać pewnego człowieka, który posiada tajemnicę twego losu, i który cię może ostrzedz o niebezpieczeństwie, jakie ci zagraża, i chce cię od tego uchronić.

Przyjaciel nieznany."

Koperta zawierała dwa bilety na bal maskowy, który miał się odbyć nazajutrz w sali Opery.

Przeczytawszy tych kilka słów, młodzian pomyślał sobie:

— To pewno jakiś głupi intrygant, co myśli zadrwić z mojej prostoty. Nie pójdę!

Mimo tego postanowienia, gdy zbliżała się godzina, o której bal miał się rozpocząć, zaczął się namyślać; sam jeszcze nie widział takiego zebrania, spodziewał się zrobić przyjemność Joemu Beans, a nareszcie przepędzić jakąś godzinę wśród nieznanej mu jeszcze rozrywki. Posłał więc po dwa domina dla siebie i swojego towarzysza, i udał się z nim do teatru.

Joe był w zachwyceniu. W roku 1817 była to dla wieśniaka rzecz wielkiej wagi zwiedzić Londyn. Stawał się on wyrocznią w swojej wiosce za powrotem, i przez całe życie używał pewnej wziętości między sąsiadami. Henryk pomimowolnie ubawił się także widokiem tak pełnym urozmaicenia. Bale maskowe nie były pospolite, jak za naszych czasów; owszem, osoby najznakomitsze można tam było napotkać. Wiadomo z pewnością, że król raczył tam bywać kryjomo.

Zaledwie nasz bochater z swoim towarzyszem dwa razy obeszli salę, ręka jakaś dotknęła się ramienia Henryka. Obrócił się i ujrzał obok siebie mężczyznę słusznego wzrostu, w masce na twarzy i okrytego czarnym płaszczem.

— Omyliłeś się pan zapewne, — rzekł do nieznajomego domina.

— Nie mylę się, Henry Ashton, — odpowiedział, — oddal twego towarzysza; mam z tobą pomówić.

— Czy tutaj?

— Jest to miejsce najlepsze w świecie do takiej pogadanki; będziemy mieli tysiące widzów, a żadnego świadka. Nie jeden tajemny i zbrodniczy zamiar został uknuty i wykonany na maskowym balu!

— Musisz mi naprzód dać dowód, że ze mnie nie robisz drwinek. Po raz pierwszy znajduję się w Londynie; nie osobliwszy to więc zaszczyt byłby dla ciebie, mającego doświadczenie, gdybyś chciał zażartować sobie z mojej prostoduszności.

— Żądasz odemnie dowodu? — zapytało obce domino.

Henryk skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dam ci dowód, — rzekł nieznajomy, i schyliwszy się ku młodzieńcowi, szepnął mu do ucha imię Elleny.

— Poprzestajesz na tem?

— Zupełnie! — odrzekł Henryk. I poleciwszy Joemu, aby czekał na niego, poszedł z nieznajomym dalej i zatrzymali się oba w framudze, jakich udekorowanie sali balowej kilka tworzyło. Dziwne było zejście się tych dwóch ludzi; jeden drugiemu patrzył w oczy, jakby pra-

gnął temi ciemnemi otworami maski dojrzeć aż do głębi duszy jego — drugi zaś usiłował ile możności uniknąć tego widoku; a tymczasem tłumy przesuwających się zwolenników zabawy, niby widma, przed nimi się przesuwały.

— Tracisz najdroższe lata życia twego, — rzekł nieznajomy, — aby ścigać widziadło, które cię tylko obłąka z drogi, kędy iść powinieneś, a do którego zbliżyć się nie możesz, bo was dzieli otchłań nieprzekroczony, grób. Dla czego nie przyjąłeś wezwania ojcowskiego do Indyi? Obowiązek, korzyść twoja własna i uczucie tam cię zarówno wzywają!

— Korzyść, przypuszczam, — odpowiedział Henry zdumiony, jakim sposobem człowiek ten mógł być tak dokładnie o jego stosunkach uwiadomionym, — ale ani obowiązek, ani przywiązanie, miejsca tu nie ma.

— Dla czego nie?

— Bo ojciec, o którym wspominasz, zapomniał swoich obowiązków i uczuć ku mnie. W poleceniach przesłanych swojemu ajentowi, dostrzegam podejrzliwość i obawę człowieka zimnego, który zapobiega, by mu się nie wyślizgnęło narzędzie potrzebne do wykonania jego zamysłów, ale nie ufność jaka między ojcem a synem istnieć powinna. A zresztą, ojciec mię nigdy nie kochał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GUMOWE BUTY i TRZEWIKI.

Czyż już kto z Czytelników „Tygodnika" widział gumę surową i wie jak się ją zbiera i z nią obchodzi? Mamy 20 do 30 różnych rodzajów gumy, różniących się znacznie co do doboru przymiotów. Najlepszą jest guma nazwana „Para", którą się zbiera w pewnej okolicy w Brazylii, 1800 mil od ujścia królowej rzek, Amazonu. Zbiera się gumę tak, jak się to czyni z sokiem z klonów, a z którego się to wyrabia cukier (maple-sugar). W drzewie gumowem wierci się dziurę, z której wypływa sok, który krajowcy zbierają w wielki garnek. W płyn ten wtykają drewnianą łopatę, do której pewna część płynu. który jest gęstawym, przylega. Wyjmują następnie łopatę i trzymają w dymie z palących się orzechów palmowych, wskutek czego guma gęstnieje i usycha. Następnie znów wtykają łopatę w płyn, wyjmują i suszą, powtarzając to tak długo, aż na łopacie mają masę ważącą kilka funtów. Rozcinają następnie masę, odłączają ją od łopaty, a guma jest gotową na targ.

Krajowcy jednakowoż nie są zawsze rzetelnymi, bo w gumie można często znaleźć orzechy palmowe, lub orzechy z drzew gumowych, kawałki żelaza, a czasem jest pomięszana z piaskiem, aby tem więcej ważyła. Wielu ludzi mniema, że guma jest klejem, który można topić i lać w kształty różne; zdanie to jest mylnem, a fabryka trzewików i butów gumowych nie jest lejarnią, lecz raczej podobną do drukarni.

W fabryce przecina się kawały gumy na cienkie zrazy (podobne do bifszteku) ostremi nożami, które wciąż są polewane wodą. Często zdarzają się nieszczęścia, gdy nóż pędzony parą natrafia na kawał żelaza w gumie. Następnie kawałki te kładą się w maszynę, która je zupełnie drobno posiekuje i w tym samym czasie wypłókuje z nich piasek i nieczystości. Masę otrzymaną kładzie się pod prasę, która zmienia ją w nierówne arkusze, które bywają suszone w suszalni przez trzy miesiące, aby i najmniejsza w nich nie pozostała wilgoć.

Guma traci przez suszenie od 15 do 30 procent swej wagi. Gdyby najmniejsza pozostała wilgoć, natenczas gdy się wyrabia obuwie, przy tak nazwanej „wulkanizacyi" utworzyłyby się w niej bąble. Suchą już gumę walcuje się ciężkiemi, żelaznemi walcami, rozgrzanemi za pomocą pary, przez co tak zostaje zmiękczoną, że można ją „wulkanizować".

„Wulkanizacya" odbywa się za pomocą siarki. Mieszanie to gumy z siarką odbywa się znów przez dłuższe walcowanie jej, wskutek którego siarka mięsza się z gumą, a przeszedłszy przez magiel, wychodzi w długich, gładkich arkuszach w długości i grubości pożądanej. Nastaje proces drukowania. Arkusze przechodzą pod walcami, na których jest wyryty model podeszwy, korka lub wierzchu, a odciski te są tak wyraźne na gumie, jak ten druk na tym papierze.

Arkusze przechodzą potem przez ręce krawców, którzy wycinają różne części i odsyłają je do odpowiednich wydziałów. Na kopycie potem pojedyncze części bywają spojone za pomocą cementu gumowego; nim się zaś wyjmie kopyto, kładzie się obuwie do pieca wulkanizującego, gdzie taki jest utrzymany stopień gorączki, że wszystkie pojedyńcze części zlewają się w jedną masę w postaci buta lub trzewika. Nareszcie wyjmuje się kopyto, i przylepia materyę potrzebną w wnętrzu obuwia. Jeżeli się ma obuwie świecić, smaruje się je pokostem i suszy.